

Hanna Krall „Ludzie może i nie są źli...” (1980)

Anna Walentynowicz na pytanie o początek.

(Trzeba, byśmy wiedzieli wszystko od początku, to może zrozumiemy, co się stało. Czternastego sierpnia co się stało, po dwunastej parę minut, kiedy to, wchodząc do stoczni, Anna Walentynowicz zobaczyła w bramie jakieś panie czekające na nią z kwiatami i usłyszała, że jacyś panowie proszą, by weszła na koparkę i powiedziała parę słów).

– Mam pięćdziesiąt jeden lat, urodziłam się na Wołyniu. Miałam matkę, ojca i brata. Kiedy wybuchła wojna, ojciec poszedł na front, brata wywieźli, a matka umarła na serce. Przynęśli mnie obcy ludzie. Po powrocie do Polski zaczęłam chodzić po wsiach i najmować się do pracy: latem do żniw, jesienią do sprzedawania noży kuchennych, które gospodarze wyrabiali ze starych kos, a zimą moi państwo pędzili wódkę, więc w nocy pilnowałam, żeby nie rozsadziło kotła, w dzień nosiłam w plecaku butelki na handel. Za tę wódkę i noże dostawałam mąkę, ziemniaki i naftę, które dźwigałam, wracając do moich państwa.

Przyjechaliśmy do Gdańska. Gospodarze dostali z Unry klacz i krowę, paniczki poszli do szkół i musiały zająć się gospodarstwem. Ja do szkoły nie chodziłam, tyle co przed wojną, skończyłam wtedy cztery klasy, choć w papierach podają, że siedem. Trzeba było wypełnić ankietę na spawacza i wpisałam cztery, ale kolega mówi – coś ty, Ania, przerób no na siódmkę. Z czwórki bardzo łatwo siódmeczkę zrobić, więc tak zostało, ale prawda jest taka, że już nigdy nie uczyłam się, tyle co na kursie dla analfabetów w stoczni i na kursach spawania.

Moi państwo bogacili się, mieli już konie, świnie, źrebaki, pięć krów i kury, i już najmowali ludzi do pracy. Ja wstawałam o czwartej, żeby nakarmić stworzenie i przygotować śniadanie pracownikom, o siódmej szłam robić w polu i paść krowy, wracałam o siódmej wieczorem, dołam krowy, szłam z sierpem i wózkiem po pokrzywy dla świń, przekręcałam je w siewkarni, kładłam się o dwunastej, wstawałam o czwartej i karmiłam stworzenie.

Nie mówię, żeby oskarżać, tylko żeby oddać wierność moim przeżyciom.

Któregoś dnia zauważyliśmy przed domem w krzakach bukszpanu jakiś grób. Chcieliśmy przenieść go na cmentarz, więc zaczęłam kopać, ale to nie był grób, tylko zakopane pudełko. Otworzyłam je i zobaczyłam złote zegarki, broszki i pierścionki – jeden piękny zwłaszcza, jak trzykrotny opleciony wąż z niebieskim oczkiem, ale pani przybiegła, zgarnęła wszystko w fartuch i zabrała.

Na Wigilię postawili mi w kuchni talerz i przynieśli opłatek. Nie chciałam siedzieć sama, więc poszłam do koni i podzieliłam się opłatkiem ze Złotką. To była piękna klacz, w kieracie szła jak artystka, krokiem tanecznym – mięśnie naprężone – o, tak – w dwa okrążenia już się pocila, taka była wrażliwa i delikatna. Złożyłam jej życzenia, a Złotka zarżała – jeśli takie rzeczy są niepotrzebne, to proszę skreślić, ja tylko mówię, żeby oddać wierność, bo pani pytała.

W połowie lata postanowiłam iść, gdzie oczy poniosą. Szłam, szłam, usnęłam, dalej idę i myślę sobie – co robić? Życie odebrać by najlepiej, ale jak? Moi państwo wyrabiali z padłego bydłęcia mydło i widziałam, jak soda kaustyczna rozpuszcza wszystkie kosteczki. Byłoby dobrze trochę tej sody zdobyć, ale skąd? No i nie odebrałam sobie życia i poszłam dalej.

Trafiłam do piekarni. Zostałam tam, bo wszędzie stały kosze białych bułeczek, i niech pani sobie wyobrazi, że mogłam jeść, ile chciałam. Normalnie – bułki stoją, a ja biorę i jem. Nikt nie mówi, żeby nie brać, to ja biorę i ile chcę, to jem.

Ilu ja dobrych ludzi spotkałam w życiu... Tych, co mi pozwolili białe bułki jeść, i tych, co mi oddali za darmo suterynę, i co dali piecyk, żebym sobie do suteryny wstawiła (bardzo dobry jest taki piecyk na odmrożenie, tylko trzeba najpierw nasmarować ciało naftą i grzać przy otwartym ogniu, żeby nafta wyparowała), ale najważniejszy był jeden pan, który powiedział – nie siedź tutaj. Idź do stoczni, nauczysz się i staniesz się człowiekiem.

Nie spałam całą noc. Modliłam się do Matki Boskiej Ostrobramskiej i całą noc drżące serce w mej piersi: czy tylko przyjmą mnie do stoczni, czy przyjmą. Ale Matka Boska wysłuchała mnie i w listopadzie 1950 roku przyjęto mnie na kurs spawaczy. Ósmego listopada dokładnie, tu jest pieczętka, a ta druga, obok ósmego sierpnia 1980 – zwolnienie. Trzydzieści lat, jaki zbieg okoliczności, prawda?

Rok później moje zdjęcie pojawiło się po raz pierwszy w gazecie w artykule pt. „Nasi przodownicy” i odtąd pojawiało się coraz częściej: przed Złotem Młodzi w Berlinie, z okazji Kongresu Związków Zawodowych (pojechaliśmy we trójkę – Sołdek, Gołąbek i ja, jako delegaci stoczni) oraz w gablotce przodowników na dziedzińcu.

W kombinezonie tam stoję, przy pracy, w jednym ręku trzymam maskę, a w drugim – rączkę spawalniczą. Obok mnie stoi Wiśniewska Jadwiga – dwieście czterdzieści procent, i Sekuła Emilia – dwieście dziesięć. Ja miałam wykon najwyższy – dwieście siedemdziesiąt procent normy. Gablotka stała przed dyrekcją, a pod nią czerwoną farbą szedł napis: SPAWACZKI – PRZODOWNICE Z BRYGADY IM. RÓŻY LUKSEMBURG.

Najważniejszym wydarzeniem w tamtych czasach był Złot Młodzi w Berlinie w 1951 roku. Najpierw spędziliśmy dwa tygodnie na obozie przygotowawczym, gdzie uczyliśmy się wielu rzeczy: chodzenia krokiem marszowym, śpiewania chórem „Hej, wy konie, rumaki stalowe” oraz odpowiedzi na pytania agentów imperializmu. Zwłaszcza nie należało się dać namówić do pozostania, a najlepiej trzymać się grupy i na niczyje pytania nie odpowiadać w ogóle. Pamiętam, że jakiś młody górnik ze Śląska powiedział wtedy – gdyby do mnie podszedł imperialistyczny prowokator, to skąd mogę wiedzieć, jak by się zachował? Na co wstał kolega z Olsztyna, wysoki blondyn, i powiedział: – Jeśli już teraz kolega nie wie, jak by się zachował, to cóż dopiero w Berlinie? I kolega górnik musiał złożyć oświadczenie, że źle się czuje ze zdrowiem, i powrócił na Śląsk.

Co do mnie, to siedziałam cichutko i powtarzałam sobie, że na pewno do żadnego prowokatora nie otworzę ust.

Osiemnastego sierpnia zwiedziliśmy w Berlinie pierwszą wystawę, czeską. Chodziliśmy po niej dwójkami, a przy wyjściu patrzymy – nie ma naszego kolegi z Olsztyna, tego

wysokiego, co nie był pewny, jak zachowa się górnik. Robimy apel, odliczamy – nie ma. Idziemy do kwater, nikomu z nikim rozmawiać nie wolno, a już z obcymi tym bardziej... No i odtąd każdego dnia ubywało po jednym delegacie, po dwóch, tyle że już bez apelu i odliczania. Powiedziano nam tylko surowo, że nikt nie śmie opowiadać w kraju, co się stało, a jeśli zapyta ktoś, to mówimy, że wroga propaganda.

Opowiadam tak szczegółowo o Zlocie, bo było to ważne wydarzenie w moim życiu: po raz pierwszy sama zetknęłam się z kłamstwem i po raz pierwszy moja organizacja kazała mi okłamywać innych.

Siódmego września 1952 r. urodził się mój syn. O jego ojcu nie opowiadam, bo nie warto: przed ślubem jeszcze pokazał swoje prawdziwe oblicze i postanowiłam nie wychodzić za mąż.

Mieszkałam z moim dzieciątkiem w Domu Matki i Dziecka jakiś czas, a potem napisałam list do Bolesława Bieruta i dostałam mieszkanie. To jest to mieszkanie właśnie, na Grunwaldzkiej, pokój z kuchnią, pięćdziesiąt trzy metry, latem całe skąpane w promieniach słońca.

Anna Walentynowicz na moją uwagę, że jej historia jest życiem robotnika idealnego, jak Wandy Gościmińskiej albo Apryasa, albo braci Bugdołów, z tamtych ludzi nikt jednak nie stał się przywódcą strajku. Czy można wskazać jakiś dzień, jakieś jedno zdarzenie, które uznalibyśmy za trop prowadzący do tej bramy stoczniowej w dniu czternastego sierpnia?

W kolektywie naszego wydziału reprezentowałam Ligę Kobiet. Raz w tygodniu zbieraliśmy się i ustalaliśmy kary i nagrody. Każdy zgłaszał swoich protegowanych do nagród i kiedy przychodziło do moich kobiet, nie było już pieniędzy. Protestowałam i mówiłam, że to niesprawiedliwe.

Kiedyś dostaliśmy trzy tysiące do podziału. Mieliśmy dać dziesięciu osobom po trzysta, ale okazało się, że pieniędzy już nie ma: dostali trzej członkowie rady, każdy po tysiąc. Podobno zresztą dwaj i tak musieli oddać przewodniczącemu, który grał w totolotka i przegrywał. Powiedziałam wtedy publicznie, pierwszy raz, że zabierają pieniądze, które należą się robotnikowi. Na drugi dzień mistrz szeptem zawiadomił mnie: – Pani Aniu, był telefon, ma pani się zgłosić, gdyby pani nie wróciła, co z dzieckiem?

Pytano mnie, czy słucham zagranicznego radia. Powiedziałam, żeby się nie wygłupiali i że nie o radio chodzi, tylko o wczorajszą naradę. Do pracy wróciłam po paru godzinach. Czy myśli pani, że to można uznać za początek?

(Nie, chyba nie. Podobnych historii z premiami, podobnych przestuchań było tysiące, tylko że ludzie, których na rozmowy wzywano, zwykle potem przestawali zabierać głos, zaś Anna Walentynowicz mówiła dalej o krzywdzie i niesprawiedliwości).

Anna Walentynowicz na pytanie, czy się nie bała:

– 1964 r. wyszłam za mąż.

Rok później zachorowałam na raka.

Po operacji naświetlano mnie radem, a kiedy wychodziłam ze szpitala, lekarz powiedział, że mam przed sobą w najlepszym razie pięć lat życia.

Termin, jaki wyznaczali mi lekarze, mijał w 1970 r. Zaraz potem wybuchł Grudzień – ten krzyk, ta ślepa rozpacz, z którą ludzie wyszli na ulice.

Pomyślałam – minęło pięć lat, a ja żyję. Jeśli Pan Bóg darował mi życie, to po to przecież, żebym coś z nim mądrego zrobiła. I zastanawiałam się, co też to powinno być.

Wiedziałam, że sama wielkiej krzywdy nie zwalczę, więc zaczęłam od drobnych spraw. Zebrałam od ludzi na wydziale kartki na mleko, po które musieli chodzić do odległej stołówki, przyniosłam z domu garnek, gotowałam mleko i nosiłam wszystkim na stanowiska pracy. To samo robiłam z zupą: dogadałam się z jednym człowiekiem, który mi przywoził zupę na wydział, podgrzewałam ją, a jak zjedli, zmywałam naczynia. Nie kosztem pracy, oczywiście, tylko podczas przerw.

Przyszedł do mnie mistrz i mówi, że ja to robię pod publiczność i że pracownicy mają chodzić do stołówki. Odniosłam naczynia i znów zastanowiłam się – co robić. Przed halą był kawałek ziemi, skopałam go i zasiałam kwiatki, ale przychodzi mistrz i mówi: – Chce się pani popisać, prawda? – Ja nic, panie mistrzu, nie chcę – powiadam – tylko żeby kwiatki rosły. – Ale zabronił mi i więcej ogródka nie uprawiałam.

Nudziło mi się. Na suwnicy miałam roboty na cztery godziny, nie więcej (przeszłam na suwnicę po operacji), ogródka uprawiać nie wolno, zupy grzać nie wolno, to siedzę na górze i szydełkuję. Któregoś dnia cisza na dole. Daję sygnał, kolega pisze mi na podłodze: STRAJK. Lecę na dół, a tam już tłum stoi i dyrektor tłumaczy, że podział premii jest taki, jak zarządził premier. Wołam – przecież premier obiecał nam, że system podziału opracujemy sami. Jak krzyknęłam, ludzie mówią mi: idź do mikrofonu. Powtórzyłam o premiach, ale dodałam też, żebyśmy poszli teraz do pracy, a dyrekcja zawiadomi nas, co postanowiła. Ludzie podjęli pracę. I dopiero tamtego dnia, 20 maja 1971 r., kierownictwo zwróciło na mnie uwagę. Nie jak wzywałam do strajku, tylko jak do pracy, bo ludzie usłuchali mnie. Nie wezwania kierownika, nie dyrekcji, tylko mnie właśnie usłuchali i to dało do myślenia moim szefom.

Anna Walentynowicz – ponownie – na pytanie, czy się nie bała:

– W październiku 1971 r. umarł mój mąż, a syn poszedł do wojska. Dziesiątego był pogrzeb, dwudziestego piątego wyjechał syn – zostałam sama.

Czego miałam się bać, skoro zostałam sama?

O męża nie musiałam się bać, bo najgorsze już się stało.

O syna nie, bo już dorósł.

O siebie nie, bo wiedziałam, że Bóg darował mi życie, choć wciąż nie rozumiałam dokładnie dlaczego. To czego się bać? Nie, strach tu u mnie nie miał miejsca.

Zresztą zajęta byłam tylko pracą, cmentarzem i dojazdami do syna do Ustki. Na każdą Wigilię brałam w jedną rękę torbę ze zniczami, w drugą wałówkę, najpierw szłam na grób i zapalałam świecę, a potem jechałam do syna. Na grobie mówiłam: – Popatrz Kazik, jak jest. Wszyscy mają dzisiaj swoich bliskich przy sobie, a wy jesteście w innym świecie każdy i ja nie mogę dotrzeć do was jednocześnie. Jak kosmonauta krąży między waszymi światami, czy to jest sprawiedliwe?

Własnoręcznie zrobiłam krzyż mojemu mężowi. Sama go zespawałam, ocynkowałam i pomalowałam na białym tle czarną farbą, że wygląda jak brzoza. Znicze wbiłam bardzo głęboko i czasem poruszałam nimi i czułam, jak dotykają trumny. Mówiłam: – Kaziu, słyszysz mnie? To ja. I opowiadałam o wszystkim, co zdarzyło się tego dnia na wydziale. Kiedy zakończył się strajk, prosto ze stoczni pobiegłam na cmentarz. – Kazik! – zawołałam. – Słuchaj! Zwycięstwo!

Anna Walentynowicz na pytanie, kiedy zrozumiała, co trzeba robić:

– Po Grudniu myślałam sobie – teraz się na pewno zmieni, nie jest możliwe przecież, żeby po tych strzałach, po tej krwi wszystko zostało po dawnemu, ale okazało się, że to było możliwe.

Pomagałam wtedy dwóm kobietom, pani Łodzi, sparaliżowanej od dwudziestu lat, z gościem postępującym, i pani Alicji, osiemdziesięcioletniej staruszce bez rodziny. Matkę Teresę z Kalkuty pytano kiedyś, co może dać człowiekowi na pół godziny przed śmiercią. Odpowiedziała: wiarę, że człowiek nie jest zupełnie sam. Ja nie mogłam nic zrobić dla wielu, dla wszystkich skrzywdzonych naraz, to myślałam, że choć pomogę pani Alicji.

Dwa lata temu usłyszałam pierwszy raz o wolnych związkach. Nie wiedziałam, co to jest, ale od razu zakiełkowała we mnie myśl, że gdybyśmy mieli prawdziwe związki, to nie byłibyśmy tacy bezbronni. Zaczęłam szukać ludzi, którzy mogliby mi to wytłumaczyć. Zdziwiłam się, jak ich zobaczyłam pierwszy raz, bo to byli ludzie z inteligencji, którzy chcieli pomóc nam, robotnikom. Opowiedziałam o nich kolegom z wydziału i przyniosłam do przeczytania nielegalne gazetki i różne rzeczy o związkach.

Zaczęto mi robić przykrości. Pracownikom nie pozwolono ze mną rozmawiać, a kierownik wydziału wyznaczył mi teren, po którym miałam prawo się poruszać: od bramy do szatni i od szatni do stanowiska pracy. Na hali miałam wyznaczony odcinek – od wejścia do siatki, a ponieważ toaleta była już poza nim, dorobiono mi klucz do innej, z sąsiedniego wydziału. Każdy krok poza wyznaczonym mi terenem był uważany za opuszczenie przeze mnie stanowiska pracy.

Kiedyś miała przyjechać telewizja. Czterech pracowników przebrano w nowiutkie kombinezony, posadzono na ławce i nie pozwolono pracować, żeby się nie ubrudzili. Zdjęto plandekę z importowanej maszyny do gięcia rur, której nie używano, bo miała pięć razy większą wydajność niż nasze i nie wiadomo by, co zrobić ze zbędnymi ludźmi, i kiedy przyjechała telewizja, stanęli przy tej maszynie pracownicy w nowych kombinezonach, a mnie kazano iść na suwnicę i w żadnym razie nie pokazywać się, aż telewizja odjedzie. Telewizja odjechała, maszynę nakryto plandeką, robotnicy zdjęli kombinezony i wrócili do pracy.

We wrześniu postanowiłam odejść na emeryturę. Przed emeryturą ludziom daje się zawsze wyższą grupę bez egzaminu, ale mnie zrobiono egzamin. Zdałam go i wtedy kierownik powiedział robotnikom: – Chcecie, żeby dostała grupę? To zdejmijcie plakat. Plakat z portretem papieża wisiał od czerwca, od Jego wizyty, i nikt go nie chciał zdjąć, ale jak od tego uzależniono moją podwyżkę, ludzie powiedzieli – w porządku, i zdjęli plakat.

Wszystko to było dosyć ciężkie do zniesienia, podtrzymywała mnie tylko myśl, że nie jestem sama i że mogę się modlić. Modliliśmy się codziennie po południu w kościele Najświętszej Marii Panny w Gdyni. Głośno odmawialiśmy różaniec w intencji przyjęcia do pracy zwolnionych ludzi, w intencji sędziów, którzy wydają niesprawiedliwe wyroki, tych, co przychodzą na nasze modlitwy służbowo, a przede wszystkim, żebyśmy mieli zawsze odwagę stawać w obronie drugiego człowieka.

W styczniu przeniesiono mnie na inny dział. Pracowałam tam z trzema osobami, którym wyznaczono zadania: brygadzysta miał pilnować, żebym nie wychodziła, grupowy, żebym nie rozmawiała, a pani Jadzia miała ze mną gawędzić po kobiecemu.

Przeniesienie to było bezprawne, ponieważ nie wymówiono mi warunków pracy, więc odwołałam się do komisji rozjemczej. Komisja rozjemcza przekazała sprawę komisji odwoławczej, komisja odwoławcza sądowi, sąd odwoławczej i po pół roku prawomocnym wyrokiem przywrócono mnie na poprzednie stanowisko na wu dwa. [W2 - wydział stoczniowy]

Mijały tygodnie, nikt tego wyroku nie respektował. Wobec tego sama zgłosiłam się na wu dwa, ale kierownik zastąpił mi drogę i kazał odejść. Następnego dnia w bramie rzuciło się na mnie czterech strażników, chwycili za ręce, zabrali przepustkę i zawlekli do wartowni. Codziennie przychodziłam do pracy zgodnie z postanowieniem sądu, ale nie pozwalano mi pracować. Jednego dnia zamykano mnie na klucz w szatni, drugiego strażnicy zatrzymywali na wartowni siłą, trzeciego nic się specjalnego nie działo, tylko dyrektor oświadczył, że wyrok sądu go nie obowiązuje – i tak dalej. Dziewiątego lipca strażnicy wezwali wóz i zawieźli mnie do działu kadr. Tu po trzydziestu latach pracy w Stoczni Gdańskiej wręczono mi zwolnienie dyscyplinarne, świadectwo pracy i zaległą wypłatę. W świadectwie było napisane – z artykułu 52, za samowolne porzucenie pracy, choć przychodziłam dzień w dzień i odbijałam kartę.

Urzędniczka, która mnie zwalniała, powiedziała: – Pani Aniu, to straszne, co robią z panią, ja dwie tabletki relanium musiałam wziąć, żeby pani dać to zwolnienie.

Zapytałam: – A dlaczego właściwie pani to robi?

– Zwolnię mnie, jak nie zrobię – powiedziała – a wtedy przyjdzie ktoś inny i zrobi to samo.

– To niech ten inny też nie robi. I jeszcze inny. Wszystkich nie zwolnię przecież.

Dlaczego ludzie nie rozumieją, tak prostej sprawy, jak pani uważa?

Anna Walentynowicz na pytanie, czy ludzie są źli:

– Kiedy wybuchnął strajk, zaczęły się dziać z ludźmi jakieś dziwne rzeczy. Ludzie zrobili się dobrzy. Od razu, w ciągu jednego dnia. Nawet jeden pan, jeden z moich najgorszych prześladowców, zaczął tak jakoś odważnie przemawiać do mikrofonu, ale tego nie wytrzymałam już i powiedziałam, jak się zachowywał wcześniej. Sytuacja zrobiła się trochę niemila i Lech musiał salę uspokoić.

– Proszę, żeby wszyscy usiedli – powiedział – i zachowali godność, jak przystało na chrześcijan. Ja sam wyprowadzę tego pana, żeby mu się nie stała krzywda.

I przeprowadził go do bramy, za bramę nawet, poprzez tłum, który czekał na niego.

Ten człowiek był u mnie niedawno i mnie przepraszał.

Wszyscy mnie przepraszają teraz i wszyscy są dla mnie bardzo mili i dobrzy. Strażnicy, którzy wykręcali mi ręce, mówią: dzień dobry, pani Aniu. I nawet przepustki nie chcą sprawdzić. Mistrzowie, którzy pilnowali, żebym korzystała tylko z mojej toalety, składają mi gratulacje, a pani Jadzia, która gawędziła ze mną po kobiecemu, powiedziała: – Jestem z panią, pani Aniu. Poszłam do nich któregoś dnia w czasie strajku z dziennikarzem angielskim. Jakże się mną ucieszyli. – Musieliśmy, pani Aniu, to wszystko robić, bo baliśmy się – powiedzieli mi. – Ale teraz się już nie boicie? – spytałam. – Nie, teraz nie. – I rzuciliśmy się sobie w ramiona.

Także – jak przypuszczam – ludzie może i nie są źli, tylko się bardzo boją.

Anna Walentynowicz na pytanie o dzień czternastego sierpnia.

– Rano byłam w naszej przychodni u lekarza. Ktoś powiedział: strajk. Spojrzałam na dźwigi za murem. Stały. Na wszelki wypadek nie wróciłam do domu, tylko do znajomych, pod czterdziestym. Przed dwunastą przybiegła do mnie sąsiadka i mówi: dyrektor przysłał po ciebie wóz. Powiedziałam, że nie wyjdę stąd i niech podjadą pod samą bramę. Samochód podjechał, wskoczyłam i pojechaliśmy. Parę minut po dwunastej weszłam do stoczni. W bramie stały jakieś dwie panie z kwiatami i okazało się, że były to kwiaty dla mnie. Ktoś powiedział, żebym weszła na koparkę. Weszłam i zobaczyłam ogromny tłum, jak podczas wizyty papieża. Nad tłumem zobaczyłam transparent: ŻĄDAMY PRZYJĘCIA WALENTYNOWICZ.

Starłam się nie płakać.

Powiedziałam: – Dziękuję wam – i zesłam z koparki.

Następnie wszyscy poszliśmy do sali bhp, żeby się naradzić, ale resztę już pani pewnie zna, więc nie ma sensu powtarzać.

Reportaż miał się ukazać w POLITYCE nr 46 z 15 listopada 1980 r. Został w całości zdjęty przez cenzurę.

Jacek Hugo-Bader „Cały dom bym wziął” (1995)

Pan Ryszard zabrał psa Arysa - pudła królewskiego, pani Anna wielki wazon. Pan Waldemar, kiedy wybuchł gaz, był pod prysznicem, wziął więc ze sobą dezodorant

Niemal nikomu z mieszkańców bloku przy al. Wojska Polskiego 39 w Gdańsku nie udało się uratować tego, na czym mu naprawdę zależało.

Ludzie brali to, co nawinęło się pod rękę, np. pierzynę.

- To taki odruch - dowodzi pani Maryla. - Jak człowiek ucieka, musi mieć ze sobą pierzynę. We wrześniu '39 też braliśmy pierzyny, chociaż było gorąco.

Wróble pana Eugeniusza

- Ja budowałem ten dom - Eugeniusz Morawski przez 27 lat był kierownikiem budowy. - Tylko we Wrzeszczu postawiłem 2 szkoły, 5 przedszkoli i 6 budynków mieszkalnych nie licząc pawilonów handlowych. Mój zakład za Gierka był w pierwszej piątce przedsiębiorstw budowlanych z całej Polski. Teraz ja jestem na rencie, rozumie pan, zawał, a przedsiębiorstwo rozwiązali - pan Eugeniusz zapala papierosa.

- Co pan ze sobą zabrał?

- Nic. Jak wybuchło, zapaliłem papierosa.

- To czego pan najbardziej żałuje?

- Dom, cały dom bym wziął. Przez okno las widziałem, góry. Dom bym wziął z tamtymi ludźmi, z tamtymi układami, chociaż miałem takich sąsiadów, z którymi nie gadałem... Jak żona umarła, to ja zacząłem ptaszki karmić, polubiłem je, a one mnie. Oswoiły się, z ręki jadły, a sąsiadka z dołu z pyskiem, że ptaki srają na balkon. To ja do niej: A wiesz ty, kobito, co to jest reinkarnacja? Ja wierzę, że moja żona jest teraz wróblem. Dobrze, że teraz wiosna, to ptaki sobie znajdują jedzenie.

Kocur pani Ewy

O kocie pani Ewy Smalewskiej sąsiedzi mówią, że domator, bo nigdy nie wychodził z domu.

- Córka była u babci w Toruniu - mówi pani Ewa - więc o Kocurze nikt nie pomyślał. Ona by go zabrała, a tak uciekłam tylko z młodszą córką. Potem cały czas o nim myślałam, ale nie miałam odwagi wrócić.

Kot pani Ewy ma na imię Kocur. Ratownicy wygrzebali go z gruzów w środę. Jest już ze swoją właścicielką. Do pokoju pani Ewy w Domu Nauczyciela, gdzie mieszka większość lokatorów zawałonego domu, co chwila ktoś puka.

- Jak kotek? - gruby jegomość wsadza głowę w uchylone drzwi. - Załatwił się?

- Jeszcze nie - odpowiada z troską pani Ewa. - On załatwiał się tylko na swoim.

Jest czwartkowe popołudnie.

- Jestem dość sentymentalna - przyznaje się pani Ewa. - Ale gdybym miała czas pomyśleć, to przede wszystkim brałabym pieniądze. Tak się złożyło, że miałam w domu

sporo gotówki. Sama wychowuję dziewczynki, jakoś sobie radzę - chyba nawet nieźle. Ale ciężko pracuję.

W Wielki Piątek za 8,5 mln starych złotych pani Ewa kupiła pralkę automatyczną. Dwa prania zrobiła.

- Była taka świetna, cicho chodziła. "Gracja" się nazywała. Tak, najbardziej szkoda mi pieniędzy.

Skrzypce pana Bronisława

Bronisław Rocławski jest docentem na Wydziale Logopedii w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej w Warszawie.

- A ja zajmuję się glottodydaktyką - mówi Izabela, żona pana Bronisława. - Od glotta - język, czyli wychowaniem językowym. Kiedy już ocaleliśmy, moja córka powiedziała: Mama, to niemożliwe, żeby w Polsce umarła glottodydaktyka.

- Czy w kraju tylko państwo zajmują się tą dziedziną?

- Tak. Realizujemy oryginalny program naukowy wymyślony przez męża.

Pan Bronisław uratował z katastrofy prace dyplomowe swoich studentów. Zabrał też dokumenty: prawo jazdy, dowód osobisty, dowód rejestracyjny samochodu.

- Źle zrobiłem. To wszystko jest do odtworzenia. Powinienem wziąć coś z archiwum rodzinnego. Tych rzeczy dotykaliśmy z wielkim nabożeństwem. Z czasem nabierało to ogromnej wartości. Żałuję, że nie wziąłem np. nagrań z mową naszych dzieci. Mieliśmy utrwalony cały rozwój ich mowy od urodzenia, pierwsze gruchania, gaworzenie, aż do wieku dorosłego.

Niedawno, podczas długiej podróży samochodem pan Bronisław odtworzył rodzinie jedno z nagrań.

- To było pierwsze gadanie Małgosi. Nie słuchaliśmy tego 25 lat. Jakie to było wzruszające. Prawie płakaliśmy. Małgosia od razu zabrała kasetę i zawiozła na Uniwersytet Gdański, bo akurat przerabiała ze studentami pedolingwistykę.

Pan Bronisław wzięby także ze sobą XVII-wieczne skrzypce Rugieri Francesco i kuchenny nóż, który służył mu jeszcze w czasach kawalerskich.

- Jest już tak wyostrzony, że nie ma prawie części metalowej. Używałem go jeszcze w akademiku, potem, kiedy byliśmy na dorobku, to nim robiłem dzieciakom kanapki. Życie człowieka to jest jego biografia związana z tysiącem różnych takich dupereli, które zapełniają dom. Teraz wszystko to straciliśmy i chodzimy w cudzych swetrach ofiarowanych przez obcych ludzi.

- Jesteśmy w miejscu zerowym - dodaje pani Izabela. - Kasia 26 kwietnia wychodzi za mąż. Wyprowadza się. Zabierze ze sobą tylko dobre wychowanie.

Wazon pani Anny

Pani Anna Barska jest ranna w nogę. Chodzi o kulach. Ma założonych kilkanaście szwów. Pokaleczyła się uciekając na bosaka z rozwalonego domu.

- Co pani ze sobą wzięła? - pytam.

- Dzieci.

- Co jeszcze?

- Wazon, ale...

- Nie mów, głupia - karci córkę matka pani Anny.

- Mama da spokój - pani Anna urywa zwisającą z bandaża nitkę. - Nie wiem, po co wzięłam ten wazon. Ani pamiątka, ani ładny. Zwykły wazon, tyle że ogromny. Jak strażak nas wyciągał przez okno, nie pozwolił nic brać. Ale ja uparłam się, więc dał spokój. Same zjechałyśmy w tym koszu - ja, dwie córki i ten ogromny wazon. Dla strażaka nie starczyło już miejsca, a mąż w tym czasie ratował sąsiadów. Strażak strasznie ryzykował, mówił, że dom w każdej chwili może się rozwalić.

Pani Anna ma 29 lat, jej mąż 34. Są 11 lat po ślubie, ale długo nie mogli mieć dzieci. 6 lat czekali.

- Najbardziej żał mi dziecięcych rzeczy. Na wszystkim oszczędzaliśmy, ale nie na dzieciach. Wszystko im kupowaliśmy: zabawki, ciuszki. Teraz na Wielkanoc dziewczynki dostały gadające zajaczki i kurczaki na baterie. Wzięłabym cały pokój dziecięcy, ozdoby choinkowe, takie piękne śpiewające Mikołaje. Cztery lata to wszystko zbieraliśmy, odkąd urodziła się Kasia.

- A wazon?

- Jest u mamy. Mnie on na co?

Pudel pana Ryszarda

Ryszard Walery chodzi w seledynowym dresie.

- Z darów, lekko używany - zaznacza pan Ryszard.

Pan Ryszard jest na rencie. Przed zawałem był operatorem spychacza i przewodniczącym komitetu blokowego, aż do momentu, kiedy ludzie z jego domu założyli własną spółdzielnię mieszkaniową "Nasz dom". Teraz jest tylko członkiem komisji rozjemczej.

- Mieliśmy najniższy czynsz w całym województwie. Odpadła administracja. Wszyscy pracowali społecznie: zarząd, rada nadzorcza, tylko sprzątacze płaciliśmy. Założyliśmy liczniki na wodę i c.o. i wie pan, co się okazało? Jedna osoba zużywa w ciągu miesiąca 3,5 metra sześciennego wody, a miasto liczyło nam 7. Tylko z tego powodu czynsz obniżył się o 100 tys. Teraz wszystko przepadło. I moje okulary, co do czytania miałem, też.

Pan Ryszard wyniósł z domu psa. Arys jest pudlem królewskim. Ma 9 lat. Żona kupiła go panu Ryszardowi na imieniny. Znajomi wyjeżdżali do Kanady, a bilet dla psa kosztował 500 dol., więc tanio oddali.

- Dlatego wziął pan akurat psa? Przecież państwo mieliście także trzy koty.

- Bo ja zawsze o tej porze wychodziłem z Arysem na spacer. A koty? One nigdy nie wychodziły. Najbardziej żał mi Sońki. Mieliśmy też jej córkę Majkę i znajdę z działki - Punię. Ale Sońka była najbardziej kochana. Jak się kładłem po obiedzie, to ona przychodziła i rozciągała mi się na piersiach i razem tak spaliśmy.

Żona pana Ryszarda zdołała zabrać torbę z kosztownościami.

- Ale nie wzięła posłania Arysa. My go kupiliśmy 8 lat temu z tym posłaniem. To była poduszka z gąbki. Bardzo jej Aryskowi brakuje. Oddałem mu swój jedyny uratowany podkoszulek, żeby zwierzę miało posłanie z zapachem, który lubi.

Zęby pana Mieczysława

Państwo Jakubowscy mieszkali na czwartym piętrze. Pytam, co udało im się uratować?

- To może ja powiem - tłumaczy pani Genowefa - bo Miecio zęby stracił i niewyraźnie mówi. Ja w nocnej koszuli zostałam, bez pończoch nawet i bez bielizny. Uciekliśmy szybko, bo ludzie krzyczeli, że gaz. Wszyscy krzyczeli, Miecio też, ale nie wiem co, bo zębów nie włożył. Nic nam nie zostało. Dorobek 40 lat przepadł. Nasze życie to była zawsze praca i oszczędzanie. W przemyśle okrętowym pracowaliśmy. Zawsze chcieliśmy coś mieć, czegoś się dorobić. Kupiliśmy nowe meble, dywany z myślą, że to już ostatni raz, że musi nam starczyć do śmierci. Ale my byśmy to wszystko oddali, żeby ci ludzie żyli. My tu wszyscy razem 20 lat...

- 23 - prostuje pan Mieczysław.

- Mיעiułku, nie przerywaj mi. Jacy to wspaniali ludzie byli. Marysia Warmińska, Małgosia Borzym, Irena Henszke, tacy zgrani, w zarządzie spółdzielni pracowali, czynsz zbierali, a Marysia placki jeszcze piekła i na posiedzenia rady przynosiła. Albo dr Pstrokońska. Ona uratowała syna, kiedy w szpitalu na nowotwór leżał. Była naszą ostoją. Przychodziła pocieszać. A krzyży, Mיעiu, ci nie żał? Też w domu zostały.

- A tak, krzyże...

- Kawalerski Miecio miał, Złoty i Srebrny. "Zasłużony dla Ziemi Gdańskiej" też.

- Gdzie pan pracował? - zwracam się do męża pani Genowefy.

- To już ja odpowiem, bo mąż nie ma zębów. On od początku, od ,48, w Stoczni pracował. Od wodowania "Sóldka". Najpierw w Stoczni Lenina, potem w Gdańskiej Remontowej, Gdyńskiej Remontowej i na koniec od ,65 roku w Zjednoczeniu.

Wymiary pani Izy

Pani Iza Machulska jest dość tęga. Jest przewodniczącą rady nadzorczej spółdzielni "Nasz dom". Rozmawiamy w domu nauczyciela.

- Wzięłam dokumenty i trochę ciuchów, bo mam obsesję, że nie będę miała w co się ubrać. Mam trochę nietypowe rozmiary.

W holu na cały regulator ryczy magnetofon Osaka. To pani Elżbieta z Gdańskiej Akademii Życia puszcza relaksacyjne nagrania.

- Chodzi o to, żeby koło tych ludzi przeleciały dobre emocje. To są specjalne słowa, dobre, pozytywne, dzięki którym stres metafizycznie uchodzi. Sączymy w nich słowa i muzykę. Pierwszego dnia byli w takim szoku, że w ogóle nie rozmawiali, tylko rękoma machali.

Z magnetofonu sączy się muzyka Kitaro.

- Czego pani najbardziej żał z rzeczy pozostawionych w domu?

- Niczego. Cieszę się, że żyję.

- Tak jest! - triumfuje pani Elżbieta z Akademii Życia.

"Jesteś mądry, dobry, dzielny. Wszystko potrafisz, wszystko możesz" - trzeszczy mężczyzna z magnetofonu. - "Nie musisz cierpieć, aby otrzymać szczęście".

Magdalena Grzebałkowska, „Terasy na morze, tańce na wolnym powietrzu” (1999)

Szanowni Państwo byłem tu wraz z małżonką gościem waszego hotelu i bardzo lubiałem. Serdeczne pozdrowienia. Frank Czechowski, Memphis, USA. 27 maja 1977

Koniec czerwca 1927 roku był ciepły. Damy zaproszone na otwarcie Kasino Hotel w Zoppot kazały uszyć sobie lekkie kreacje. Żona nadburmistrza, doktora Ericha Lauego, zabrała jednak etolę. Wieczorem nad samym brzegiem morza mogło być chłodno.

Na przyjęcie zapraszał osobiście sam dyrektor gospodarczy Jeromino: "30 czerwca. Nowo otwarcie Kasino Hotel. Zoppot. Restauracja - Terasy na morze. Tańce na wolnym powietrzu, Eric Borchard gra, Rita Tanagra i Ernest tańczą. Grill-room, cukiernia karlsbadzka".

Otwarcie hotelu udało się znakomicie. Nadburmistrz Laue pił szampana w towarzystwie dr. Doenicka, profesora Politechniki Gdańskiej, radcy budowlanego miasta. Obaj panowie mieli powody do radości. Po trzech latach od rozpoczęcia budowy oddawano do użytku najdroższy, najelegantszy i największy hotel w Sopocie. Zaprojektował go znany architekt Hans Fallang, budowę prowadzili dwaj profesorowie Politechniki Gdańskiej, Kloepel i Kohnke.

Nazajutrz "Gazeta Gdańska" donosiła: "W czwartek odbyło się otwarcie Kasino Hotel i ubikacji restauracyjnych, cukierni oraz dancingu pod gołym niebem. Wielki i stylowy gmach, odznacza się imponująco nad plażą. Do użytku w części oddano dojazd, hall, terasy nad morzem, kawiarnię z cukiernią, 35 pokoi dla kuracjuszków z 50 łózkami, główne urządzenia kuchenne, chłodnie, pralnie, ubikacje dla personelu i urzędników administracji".

Sześć lat później dr Laue (wówczas już na emeryturze) trafił do aresztu za nadużycia finansowe przy nadzorowaniu budowy. Popęłił samobójstwo.

Najpierw pierwsze piętro

Dwa skrzydła, trzy piętra. Hol otoczony schodami, restauracja, kawiarnia, bar, 112 pokoi.

- Najpierw pierwsze piętro - decyduje Anna Lipińska, kierowniczka recepcji (w hotelu 16 lat), zabierając pęk kluczy.

Ruszamy po schodach wyłożonych dywanem. Malutkie balkoniki, na które można wejść z holu na piętrze, są zamknięte na glucho. Z jednego Jan Kiepura zaśpiewał kiedyś "Umarł Maciek, umarł". Skręcamy w ciemny korytarz.

- A oto sławny 226 - mówi moja przewodniczka. Stoimy przed dwuskrzydłowymi drzwiami, w które wprawiono zielone szybki witrażowe.

Przekraczam próg najslawniejszego apartamentu w hotelu.

"Degolówkę" lubią Francuzi

Na cześć Adolfa Hitlera parkiet w apartamencie 226 inkrustowano małymi swastykami. Wódz III Rzeszy mieszkał w hotelu we wrześniu 1939 roku, w czasie działań wojennych na Helu. Przez tydzień przed jego przyjazdem inżynierowie przebudowywali pokoje, sprawdzali stan bezpieczeństwa. Dziś na parkiecie z jasnej klepki nie ma śladu po swastykach.

Z pokojów, które zajmował Hitler, widać morze. Przy dobrej pogodzie półwysep jest widoczny jak na dłoni.

- Prawdopodobnie Hitler obserwował Hel nie ze swojego apartamentu, ale z kopuły hotelu. Stamtąd widok jest lepszy - przypuszcza Anna Lipińska.

W dwa dni po Hitlerze przyjechał Goering. 1 października 1939 roku polscy parlamentariusze podpisali tu kapitulację Helu.

W pokojach stoją oryginalne, antyczne meble. Stukam palcem w kryształek zwisający z ozdobnego żyrandola w sypialni. Pani Anna wzdycha: - Mycie tych żyrandoli to cała historia. Nasi pracownicy rozbierają je na najdrobniejsze części i myją kryształki każdy z osobna. One tu wiszą od samego początku.

Nie ma za to łóżka, na którym spał Hitler.

- Raz grupa Norwegów odwołała rezerwację apartamentu, gdy dowiedzieli się, kto w nim mieszkał. Apartament lubią za to Francuzi - ze względu na de Gaulle'a.

Kiedy w apartamencie nocował generał Charles de Gaulle, w całym hotelu nie było łóżka dla tak wysokiego człowieka. Odpowiednie znaleziono w końcu w Muzeum Narodowym w Warszawie. Jeździło za prezydentem po całej Polsce. Od tamtej pory apartament nazywany jest "degolowskim" albo "degolówką".

Prześciowy gabinet urządzone ze smakiem. Pod oknem skromne biurko na wygiętych nogach. - To biurko Hitlera - informuje Anna Lipińska. Gładzę intarsjowany blat, otwieram szufladki. Puste.

Trzy guziczki z kości słoniowej

W porównaniu z "degolówką" kolejny pokój jest mały i skromny. Pachnie jednak inaczej niż pokoje w nowoczesnych hotelach. To zasługa starych, głębokich szaf, wbudowanych we wnękę 72 lata temu. Mogą pomieścić kufry i pudła na kapelusze. Pozostałe meble są repliką przedwojennych. Dwuosobowe łóżko, sekretarzyk i krzesła zakłady meblowe w Swarzędzu wykonały na zamówienie kilkadziesiąt lat temu. Rozstawiono je prawie we wszystkich pokojach.

- Każdy zestaw obito innym materiałem - tłumaczy pani Anna. - Niebieskim, zielonym, żółtym. Dzięki temu w naszym hotelu nie ma dwóch identycznych wnętrz.

Anna Lipińska pokazuje miedzianą, wygiętą klamkę, zamek, który się lekko przekręca, małe bolce na sprężynie, dzięki którym drzwi się cicho zamykają. Detale, które pamiętają lata przedwojenne.

We framudze drzwi miedziana tabliczka. Na niej trzy guziczki z kości słoniowej. Popękały i pożółkły, wciąż jednak z łatwością można je wcisnąć. Przy każdym wytłoczono miniaturowe postacie: kelnera z tacą, pokojowej z miotełką i bagażowego z walizką. Nie były używane od wojny. Naciskam guziczek wzywający kelnera.

Siedemdziesiąt lat temu nad drzwiami mojego pokoju zapaliłaby się lampka. Kelner w ukłonach wniósłby do pokoju szampana w lodzie. Dziś nikt nie puka do drzwi.

Kąpać się w morzu, nie wychodząc z hotelu

Gdy oddawano budynek do użytku, było w nim tylko trzydzieści pięć łazienek. Jeszcze piętnaście lat temu goście pięciu pokoi bez łazienek korzystali ze wspólnych pryszniców i toalet na korytarzach.

Dziś w Grandzie jest ich kilka rodzajów. Pierwsze - supernowoczesne w stylu retro. Kiczowate zlewy w kształcie muszli, błyszcząca stylizowana armatura, kafle od podłogi do sufitu.

Drugie - brzydkie, z lat 70., wyposażone w to, co było akurat na rynku.

I oryginalne. W takiej właśnie przysiadłam na brzegu wanny, poźółkłej od ciągłego mycia. Jest tak głęboka, że kąpiący się człowiek siedzi w niej zanurzony po uszy. Na ścianie cztery kurki.

- Aż cztery? - pytam zdziwiona. - Dwa do zwykłej wody i dwa do morskiej - tłumaczy pani Ania.

Bo gość Grand Hotelu mógł się kąpać w morzu, nie wychodząc z budynku. Dziś aparatura nie działa. Nikt nie pamięta, czy po wojnie można było korzystać z tego cudu techniki hydraulicznej. Jednak prasa trójmiejska donosiła w latach 60. o malwersacjach finansowych związanych z kupnem pompy do wody morskiej dla hotelu.

Nad dwukomorowym zlewem poźółk-łe kafle, ceramiczna półeczka. Stare miedziane kurki i metalowe, modernistyczne wieszaki. Takie rzeczy można dziś zobaczyć tylko w filmach.

- Ludzie nie zawsze potrafią to docenić - martwi się Anna Lipińska. - Żartujemy, że wywiesimy tabliczkę: Gościu, masz okazję wykąpać się w zabytkowej łazience.

Niestety, pięć ostatnich łazienek oryginalnych niedługo zniknie. Na rzecz supernowoczesnych.

Dwie gwiazdki za 12 milionów dolarów

Za kilka lat trzygwiazdkowy Grand Hotel wzbogaci się o dwie gwiazdki. Dyrektor Witold Dąbrowski twierdzi, że będzie to kosztować około 12 mln dolarów. Po remoncie zmiany w hotelu będą ogromne.

Jak za dawnych czasów będzie się można kąpać w solance. Jednak nie w wannach, a w małym basenie dobudowanym do północnego skrzydła hotelu. - Dojdą dwie nowe windy, przeniesiemy recepcję, na śród- ku stanie antyczny stolicek ze świeżymi kwiatami, zmieni się mozaika na podłodze - wylicza dyrektor Dąbrowski.

- Zniknie ogródek sprzed frontu, podjazd będzie przebudowany. Liczba pokoi wzrośnie do 185. - Zrobimy je na strychu, dziś nie wykorzystywanym, i w pomieszczeniach biurowych - dopowiada dyrektor.

Przed wojną pokój kosztował tu dwukrotnie więcej niż w innych sopockich hotelach. W roku 1938 było to 26,55 guldenów (w Domu Kuracyjnym - 14, w Metropolu - 11).

Dyrektorem hotelu i Domu Zdrojowego w okresie przedwojennym i w czasie wojny był Willy Kuschel.

Dyrektor Administracji Kąpielowej Franz von Żychliński tak reklamował w prasie pobyt w hotelu: "Przed hotelem kasynowym znajduje się pod gołym niebem pierwszorzędny dancing, na którym mogą używać do syta wielbiciel sztuki choreograficznej, nie obawiając się połykania kurzu i złego powietrza, niejednokrotnie tak rażącego w lokalach zamkniętych. Dla gości wygodniejszych na tarasach znajduje się setki miejsc siedzących, z których obserwacja licznych turniejów premjowych również nie pozbawi ich czystego morskiego powietrza".

"Gazeta Gdańska" od czasu do czasu informowała o życiu gości. 13 lipca 1933 roku pisała o sensacyjnym włamaniu do hotelu: "Szczer hotelowy zabrał kosztowności i 1800 marek. Kuracjusze zajmujący pokoje na pierwszym piętrze zwrócili uwagę na podejrzane szmery dochodzące z drugiego piętra. Ofiarą padło małżeństwo K. z Berlina. Złodziej wykradł kosztowności i co cenniejszą garderobę".

Z wojny hotel wyszedł w stanie nienaruszonym. Pod koniec działań wojennych urządzono w nim szpital polowy.

Nową nazwę - Grand Hotel - otrzymał w roku 1946, po przekazaniu go przedsiębiorstwu Gdynia - Ameryka - Line. "Orbis" przejął Grand Hotel 26 marca 1954 roku.

Biały 218

Kiedyś hotelową windę obsługiwał windziarz w liberii. Kręcił kołem podobnym do sterowego i umiejętnie zatrzymywał się na piętrach.

Drugie piętro. Duże pokoje od strony morza służyły jaśnie państwu, mniejsze od strony łądu wynajmowano służbie.

Hotelowe apartamenty mają tajemnicze przejścia, ukryte drzwi. Z jednego wychodzimy przez łazienkę.

- Ten pokój nazywamy "Biały 218" - mówi Anna Lipińska. Drzwi otwierają się bez skrzyknięcia.

"Biały 218" to niespodzianka hotelu dla nowożeńców. Barokowe łoże, barokowe szafki, stolik, krzesła. Wszystko białe. Do całości nie pasuje piękny modernistyczny żyrandol z giętego szkła. Dyrekcja hotelu nie ma jednak serca zamienić go na inny. - On tu wisi od samego początku.

Tam gruzy, tam molo

- A wie pani, że pracował u nas Bohdan Tomaszewski? - pyta recepcjonistka.

- Do recepcji hotelowej trafiłem przez protekcję - wspomina lato 1947 roku znany dziennikarz sportowy. - To była dosyć dziwna historia.

Aleksander Leszczyński, ojciec pierwszej żony Bohdana Tomaszewskiego, przed wojną był dyrektorem przedsiębiorstwa żeglugowego Gdynia - Ameryka - Line. Zginął w kampanii wrześniowej. Jego zastępca, dawny podwładny Aleksandra Leszczyńskiego, z sentymentu dla szefa zatrudnił na wakacje 1947 roku jego zięcia - tenisistę i początkującego dziennikarza.

Bohdanem Tomaszewskim zaopiekował się wówczas staruszek portier: - Właściwie to on zarządzał hotelem. Przemięły człowiek. Mieszkałem wtedy w Grand Hotelu, w pracy byłem najwyżej kilka godzin dziennie, resztę czasu spędzałem na kortach - wspomina Bohdan Tomaszewski.

W zniszczonej Polsce ten hotel z obrotowymi drzwiami i kryształowymi żyrandolami był oazą wytworności i elegancji.

- Dla warszawiaków jeden nocleg w Grandzie był jak wyjazd za granicę - mówi. - Tam gruzy, tu molo, całe domy i hotel. Sopot był wówczas najmodniejszym miejscem.

Bohdan Tomaszewski był w Grand Hotelu jeszcze przed wojną: - Do Sopotu przyjechałem na międzynarodowy turniej tenisowy. Wtedy po raz pierwszy przekroczyłem próg hotelu. Jego ówczesny poziom można określić jako europejski.

Pan hrabia z żoną i osobistym lekarzem

Mimo że Grand Hotel jest wciąż najdroższy w Sopocie, pokoje trzeba rezerwować z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Dla stałych i specjalnych gości dyrekcja trzyma numery w zapasie.

- Wiemy na pewno, że jak co roku przyjedzie co najmniej na miesiąc pan hrabia z żoną i osobistym lekarzem - mówi Anna Lipińska, prowadząc mnie na trzecie piętro. - Trzymamy więc dla niego wciąż ten sam pokój.

Pan hrabia (rocznik 1903) farbuję włosy, namiętnie gra w brydża, a na pracowników hotelu woła "służba". Mimo dużych wymagań jest ulubionym gościem personelu. Do obiadu zasiada zawsze w towarzystwie. Z menu wybiera najlepsze potrawy, na deser zjada truskawki z bitą śmietaną. Popija kawą i malutkim kieliszkiem likieru. Pana hrabiego chcą wozić wszyscy sopoccy taksówkarze. - Nasz gość wsiada do samochodu, stukną łaską w zagłówek kierowcy i mówi dystyngowanym tonem: "Szofer, proszę jechać" - opowiada recepcjonistka. - Każe się wieźć na korty tenisowe, sto metrów od hotelu. Taksówkarze nie narzekają, bo jazda z panem hrabią to całodzienny zarobek.

Ruleta kręcona nocą

Hotel zbudowano z myślą o gościach sopockiego kasyna. Klub Zoppot (było w pobliżu, w nieistniejącym dziś skrzydle Domu Zdrojowego). Powstał dzięki zyskom, jakie przynosił Klub.

Po wojnie w Grandzie nadal kwitł hazard. W karty grywano w wielu pokojach. Ruletkę kręcono w "degolówce". Częstym gościem apartamentu 226 był Jerzy "Zimon" Kolasa, specjalista od tatuażu i scenarzysta. Niektóre sceny pokazane w filmie "Sztos" Olafa Lubaszenki (do którego Kolasa napisał scenariusz) zdarzyły się tu naprawdę.

- Gości nigdy nie brakowało. W dzień grali na wyścigach albo w karty w Łazienkach Południowych. Wieczorem przychodzili na ruletę. W innych pokojach można było zagrać w bakarata, pokera, tysiąca.

Stawki były takie jak w "normalnym" kasynie. Milicjanci z pionu gospodarczego pilnowali, czy w hotelu nie uprawia się hazardu. A raczej kontrolowali, kto go uprawia. - Milicja siedziała w sąsiednim pokoju i podsłuchiwała - wspomina "Zimon". - Zresztą ten, co kręcił, był przeważnie powiązany z milicją.

Od dziewięciu lat kasyno przy hotelu działa legalnie. Po korytarzach nie przemykają się ukradkiem żadni hazardu goście.

De Gaulle jadł zrazy Sobieski

Umawiałam się z nimi kilka razy. W końcu udało nam się spotkać przy okrągłym stoliku w sali marmurowej hotelu, na parterze. Tu nie ma pokoi. Jest za to restauracja z najpiękniejszym widokiem na morze i bar.

Przez ostatnie trzydzieści dziewięć lat obaj panowie przeszli w restauracji kilka tysięcy kilometrów. Zaczynali jako kelnerzy. Dziś Bronisław Czempiński jest barmanem, Henryk Wróblewski - kierownikiem sali.

Spodziewali się, że będę pytać o sławy, jakie przewinęły się przez hotel. Kto jak kto, ale oni pamiętają je najlepiej. Pan Bronek przechowuje w domowym archiwum zdjęcia z najważniejszych hotelowych uroczystości. Miał zaszczyt obsługiwać osobiście generała de Gaulle'a. - Wybrano nas szczególnie starannie - wspomina pan Bronisław. - Kazano włożyć białe rękawiczki.

Bronisław Czempiński do dziś pamięta wszystko, ze szczegółami. Obiad dla siedemdziesięcioosobowej ekipy prezydenta Francji podano w sali werandowej. Każdy kelner miał do obsłużenia dwanaście osób. Charles de Gaulle'a był w garniturze. - Przemięły człowiek - mówi pan Bronisław.

Ze strony polskiej do stołu zasiadł premier Cyrankiewicz. W menu - zrazy Sobieski w sosie, podawane w wydrążonym chlebie. Z okazji wizyty generała wymieniono całą, przedwojenną jeszcze, zastawę stołową. Zniknęły bezpowrotnie platery z napisem Kasino Hotel Zoppot. Zastąpiły je nowe, posrebrzane tace i sztucce.

Bardzo ważnego gościa obsługiwał Biedny, pomocnik hotelowy, stary pracownik Grand Hotelu. - Zamiatął podjazd, nosił walizki, dorabiał sobie po odejściu na emeryturę - opowiada Bronisław Czempiński.

Chociaż był analfabetą, znał kilka języków obcych. - Na wojnach się nauczył - mówią kelnerzy. - On nawet w pierwszej wojnie walczył.

Kiedyś do hotelu miał przyjechać ważny gość z Austrii. Gospodarze wpadli w panikę - nie było tłumacza języka niemieckiego. Biednego umyli, ogolili i przebrali w elegancki garnitur. Austriacki gość był bardzo zadowolony ze swojego tłumacza. Tym bardziej, że Biedny miał wspaniały, austriacki akcent.

Padający Deszczyk robi karierę

Bar, w którym podaje drinki pan Bronisław, w niczym nie przypomina tego sprzed kilkudziesięciu lat. Zniknął szeroki bar i lustra. Zostały tylko niewygodne stołki barowe. Tu najlepiej wspomina się złote lata Grand Hotelu. Zaczęły się gdzieś w roku 1960, trwały dwie dekady.

- Pod Grand Hotelem można było wymienić każdą walutę świata. W środku na gości czekały najpiękniejsze trójmiejskie prostytutki - wspominają z rozrzewnieniem pracownicy hotelu.

- To były czasy - rozmarzają się panowie Bronisław i Henryk. - Do Grandu przyjeżdżali dawni, przedwojenni goście. Ale przychodziło też dużo młodych. Tu toczyło się

prawdziwe życie towarzyskie. Dziewczyny do wzięcia siedziały w barze. - Ładne i sympatyczne - mówi Henryk Wróblewski. - Zawsze eleganckie. Znały języki obce. Niektóre zrobiły nawet karierę.

- Siedziałem często w hotelu. Przyglądałem się im - wspomina pan Tomek, dawny cinkciarz. - Siedziały bidule i czyhały na obcokrajowców. Najbardziej pracowita była dziewczyna o pseudonimie "Padający Deszczyk". Brzydka jak nieszczęście, ale miała jakiś wdzięk. Obsługiwała gości co pół godziny. Nie wybrzydzała, brała wszystkich. Inne siedziały, zgrywały damy i czekały na przystojnych. To właśnie ona zrobiła karierę.

- Mieszka w Szwecji, wyszła za mąż, ma dzieci - opowiada Henryk Wróblewski. - Prowadzi knajpę. Czasami nas odwiedza.

Na początku wymienialiśmy uczciwie

Cinkciarze pod Grand Hotelem pojawili się pod koniec lat sześćdziesiątych. Pan Tomek zgadza się ze mną spotkać i porozmawiać o przeszłości. Ale prosi, by zmienić mu imię i nie pisać, co robi dzisiaj. Jest w mieście szanowanym człowiekiem.

- Na początku wymienialiśmy pieniądze uczciwie - wspomina pan Tomek. - Oszuści pojawili się na początku lat siedemdziesiątych.

Pan Tomek żył z tego dwadzieścia lat. Teraz w hotelu bywa rzadko. Kiedyś dzień zaczynał od wyprawy do Grandu. Wstawał o 7 rano. O tej porze turyści szli na śniadanie. Potem chcieli wymienić walutę na złotówki.

- Wtedy pojawiałem się ja - mówi pan Tomek. - Sposobów na zrobienie klienta było kilkadziesiąt.

Zanim Niemiec czy Szwed zorientował się, że został oszukany, cinkciarz był już daleko: - Uciekaliśmy po- dwórkami do Złotego Uła przy Monciaku. Ja jadłem śniadanie, a w tym czasie wściekły Niemiec biegał wokół Grandu.

Pod każdym względem, a szczególnie obsługi

Księga pamiątkowa hotelu jest dość skromna. Oglądam ją w pokoju kierowniczkich recepcji. Nikt już nie pamięta, czy podobna księga istniała przed wojną. Pierwsza powojenna zaginęła. Ta, do której dziś wpisują się goście, pochodzi z roku 1966.

7 grudnia 1966: "Chwałę Grand Hotel! Jest pod każdym względem a szczególnie obsługi bez zarzutu. Dziękuję! - mgr Włodzimierz Kirgłowicz, minister budownictwa i PMB [przemysłu materiałów budowlanych]".

30 sierpnia 1967: "Najlepsze życzenia najlepszej załodze najlepszego hotelu w Polsce - od Jerzego Połomskiego".

27 maja 1977: "Szanowni Państwo, byłem tu wraz z małżonką gościem waszego hotelu i bardzo lubiałem. Serdeczne pozdrowienia. Frank Czechowski, Memphis, USA".

6/7 września 1997: "Na komputerze pisze już wielu, ja skrobię piórem i atramentem, mieszkam w sopockim Grand Hotelu, zawsze z niezmiennym sentymentem... Dziękuję. Do zobaczenia. Wojciech Młynarski".

Pani Ania odbiera w recepcji telefon od stałego gościa: - Tak, panie Adamie. Ten sam pokój, co zawsze. Aha, proszę zabrać ciepły sweter. U nas nad morzem wieje.

Dorota Karaś, „Był tutaj Fidel” (2001)

Oprócz wykonanej z metaloplastyki panoramy Gdańska, daru stoczniovców, Fidel Castro wywiózł z Gdańska trzech poturbowanych ochroniarzy. O incydencie, który zdarzył się w 1972 roku w sopockim Grand Hotelu podczas "wizyty przyjaźni", nie pisały ówczesne gazety

Waldek ubrany w harcerski mundurek przestępował z nogi na nogę. Słońce paliło go w plecy, a towarzysz Edward Babiuch przemawiał już chyba pół godziny i wyglądało na to, że dopiero się rozkręca. W grupce, w której znalazł się chłopak, stało nie więcej niż dwadzieścia osób. Żołnierze, milicjanci, pielęgniarki, stoczniovcy. Wszyscy z marsowymi minami. Tylko stojący kilka metrów dalej student, w przerwie między przemówieniami, wrzasnął: viva Cuba!

Babiuch wreszcie skończył, ale po nim na mównicę wspięli się pomniejsi dostojnicy. Tym poszło szybciej. Kiedy skończył ostatni mówca, wysoka postać w wojskowym mundurze ruszyła wzdłuż szpaleru, zatrzymując się na chwilę przed każdym z witających. Waldkowi zaparło dech, gdy podeszła do niego i uściśniła mu dłoń.

Reporter "Dziennika Bałtyckiego" zapisywał w notesie: "dziesiątki rąk wyciągnęło się na powitanie gościa, budzącego w Polsce powszechną sympatię i podziw".

Był piątek 9 czerwca 1972 r. Rozpoczęła się oficjalna wizyta Fidela Castro w Gdańsku.

Czajka na pustej ulicy

Waldemar, który witał Fidela Castro na lotnisku w Babich Dołach, ma teraz 44 lata. W 1972 roku kończył pierwszą klasę II LO w Gdyni. Najlepiej pamięta ten uścisk ręki wodza kubańskiej rewolucji.

- Należałem do drużyny Czerwonych Beretów - opowiada Waldemar. - Zawieźli nas na lotnisko. Jako reprezentanci wszystkich harcerzy mieliśmy witać gościa. Nie pamiętam, żeby nas jakoś przygotowywano do tej wizyty, nikt nas specjalnie nie indoktrynował.

Dzisiaj zastanawia się, czy nie ma go przypadkiem na żadnym ze zdjęć z tamtej wizyty: - Chciałbym mieć taką pamiątkę. Było nie było, Fidel Castro to postać znana na całym świecie.

Marian (dziś 43 lata) na samochód wiozący Fidela Castro natrafił na ulicy Słowackiego, na wysokości Niedźwiednika: - To był na pewno odkryty wóz, zdaje się, że czajka. Jechał pustą ulicą. To dlatego, że wstrzymano ruch w całym mieście. Fidel od czasu do czasu pozdrawiał ludzi.

Samochodowi wiozącemu kubańskiego przywódcę towarzyszyły dwie karetki pogotowia. Czemu aż dwie? - Jedna była zakamuflowaną eskortą, wiozła ochroniarzy - twierdzi jedna z osób pamiętających wizytę.

Kubańska ochrona oraz karetka jeszcze wystąpią w tej historii.

Elementarz na lichym papierze

Zanim na lotnisku w Gdyni wylądował samolot z I sekretarzem KC Komunistycznej Partii Kuby i premierem Rządu Rewolucyjnego Republiki Kuby dr. Fidelem Castro Ruz (tak tytułowały gościa ówczesne gazety), w Trójmieście trwały przygotowania do "wizyty przyjaźni". Przed Gdańskiem Castro odwiedził Warszawę, Kraków i Śląsk.

Do wizyty gościa przygotowywały czytelników trójmiejskie dzienniki, przybliżając na łamach osiągnięcia kubańskiej rewolucji. Poruszający materiał drukuje "Dziennik Bałtycki": - Prosty, półwojskowy ubiór. Duża lampa naftowa. Elementarz drukowany na lichym, żółtawym papierze. (...) Pierwszy tekst elementarza: La Re-for-ma Ag-ra-ria" - tak rozpoczyna się reportaż z Muzeum Alfabetyzacji. - Kuba stała się pierwszym i do tej pory jedynym krajem Ameryki Łacińskiej, w którym niepiśmienność została całkowicie zlikwidowana" - donosił dziennikarz.

Kwiaty z okien i z suwnicy

W walizkach kubańskiej delegacji, która doleciała samolotem Ił -18, znajdował się już galowy strój górnika (dar od przedstawicieli śląskich kopalni). Po wizycie w Gdańsku przybyły kolejne prezenty, wśród nich okazałych rozmiarów metaloplastyka przedstawiająca panoramę Starego Miasta. Wykonali ją specjalnie dla Castro robotnicy ze Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Zresztą wizyta w stoczni była kluczowym punktem pobytu w Gdańsku.

Prezent - "dar samorządu robotniczego" - wręczono w Sali BHP. Stamtąd Castro dziarskim krokiem udał się na spacer po stoczni. Zatrzymał się na dłużej w hali wydziału kadłubowego.

W tłumie otaczających osób był mało widoczny, dlatego Stanisława, robotnica wydziału K2, wspięła się na suwnicę. Stamtąd rzuciła w kierunku gościa wiązkę polnych kwiatów. Fidel Castro spojrzał w jej kierunku, wyjął z kieszeni długopis, poprosił o kawałek papieru. Napisał kobiecie dedykację: "Bardzo dziękuję za kwiaty, które zrzucano mi z suwnicy. To był piękny, niezapomniany gest. Bardzo dziękuję. Fidel Castro."

Chciałam skontaktować się z panią Stanisławą, ale pod numerem telefonu, pod którym spodziewałam się ją znaleźć, usłyszałam: nie rozumiem. Nie mówić po polski.

Kwiaty towarzyszyły Fidelowi również w przemarszu przez Główne Miasto. Nie obeszło się bez goździków wręczonych przy Złotej Bramie.

"Nieprzeliczone tłumy mieszkańców (...) wiwatowały na cześć legendarnego przywódcy, rzucano kwiaty z otwartych okien" - pisały gazety. Fidel Castro odwdzięczał się uściskami dłoni rozdawanymi na prawo i lewo.

Żeby tylko nie pękło

O dalszym przebiegu wizyty gazety już nie informowały. "Fidel Castro odjechał do swojej rezydencji w Sopocie" - podsumowali dziennikarze.

Tymczasem w Sali Werandowej Grand Hotelu czekał już na kilkadziesiąt osób delegacji kubańskiej oraz prominentów z Gdańska i Warszawy zastawiony stół. Kryształowe kieliszki, szklanki, maselniczki, srebrne sztucce, orbisowska zastawa. Dwunastu

kelnerów w smokingach i białych rękawiczkach czekało pod ścianą. Fidela Castro obsługiwał Bronisław Czempiński, wówczas kelner z 11-letnim stażem.

- Jeśli czegoś się obawiałem, to chyba, że coś mi się wyślizgnie z ręki i wyleję sok albo zupę - opowiada. - Rękawiczki były śliskie, zakładaliśmy je rzadko, tylko na tak zwane przyjęcia prezydenckie. Niewygodnie się w nich pracowało.

Obsługa gości była dokładnie reżyserowana. Kelnerzy poruszali się tylko w przerwach między oficjalnymi przemówieniami.

- Na sali nie mogliśmy zamienić między sobą słowa - wspomina kelner. - Porozumiewaliśmy się tylko wzrokiem. Tylko raz podczas dwugodzinnego przyjęcia usłyszał szept swojego kolegi. Kiedy Fidel Castro zaczął bujać się na krześle, kierownik sali westchnął: - Żeby tylko nie pękło...

Noc kubański przywódca spędził w apartamencie nr 226, zwanym "degaulleowskim" (tradycyjnie kwaterowano tam najważniejszych gości - mieszkał w nim również Adolf Hitler). Bronisław Czempiński nie przypomina sobie, żeby na przyjazd gościa z Kuby robiono w apartamencie specjalne przemeblowanie: - Jak przyjeżdżał de Gaulle, to trzeba było wstawić większe łóżko, bo był taki wysoki. Fidel Castro, choć też kawał chłopca, zmieścił się w tym, co było.

Śniadanie Castro zażyczył sobie do pokoju. Podawał mu je znów Bronisław Czempiński: - Przed drzwiami stało dwóch wielkich drabów z ochrony. Musieliśmy poprosić o pozwolenie wejścia do środka. Kiedy wnieśliśmy tace, Castro już był na nogach, w nieodłącznym mundurze.

Gościom dostarcza się kobiety

Kiedy najważniejszy gość zniknął już w swoim apartamencie, jego eskorta zasiadła w jednej z hotelowych restauracji. Piętro, na którym się znajdowała, zamknięte było dla pozostałych gości.

Jacek, wówczas student prawa, dostał się do restauracji dzięki koledze, który zajmował się sprzedażą walut: - On czuł się tam, jak u siebie w domu. Dla cinkciarzy, którzy pracowali w Grand Hotelu, nie było zamkniętych przejść. A ja na długo zapamiętałem ten wieczór.

Jacek z kumplem usiedli przy barze, wśród coraz bardziej rozbawionego towarzystwa. Obok dziennikarka z Warszawy zabawiła trójkę kubańskich ochroniarzy.

- Prowokowała ich - przyznaje Jacek. - W pewnym momencie coś im uderzyło do głowy. Wstali od stolika i chcieli wyciągnąć ją na zewnątrz.

Jacek i jego kolega rzucili się za nimi. W powietrzu przeleciał wazon. Ochroniarze puścili kobietę. W ruch poszły pięści. Górą byli polscy "bokserzy".

- Prawdę mówiąc, byłem zdumiony, jak łatwo nam z nimi poszło - przyznaje Jacek. - Do dzisiaj mam niesmak po tym incydencie, zachowałem się jak szczeniak. Teraz wiem, że gości się nie bije, gościom się dostarcza kobiety. Ale byłem młody, uznawałem prawo pięści. Dopiero później pomyślałem o tym, że to byli wyszkoleni oficerowie, mogli chwycić za broń. Na szczęście dla nas, za dużo wypili.

Ochroniarzy odwiozła do szpitala karetka. Polaków zatrzymali tajniacy: - Rano nas wypuścili, a po kilku godzinach znowu po nas przyszli. Tym razem trzymali nas tak długo, aż Fidel Castro nie opuścił Polski.

Ostatnia lakoniczna wzmianka o wizycie kubańskiej delegacji w Gdańsku ukazała się w poniedziałkowych gazetach: "samolot z gośćmi wystartował w sobotę, 10 czerwca, przed południem".

- Ja odetchnąłem dopiero pół roku później - mówi Jacek. - Przez jakiś czas miałem kłopoty na uczelni, a potem przyszedł do mnie jakiś miły pan i powiedział, żebym o wszystkim zapomniał. Myślę, że ani Kubańczykom ani Polakom ten incydent nie przyniósł chwały, dlatego tak szybko dali sobie z tym spokój.

Mariusz Szczygieł, „Kaprysyk” (2001)

Szanowna Redakcjo,

prowadzę w Szczecinie małą, ale - śmiem powiedzieć - dość znaną pracownię fotograficzną. Pani A. pojawiła się u mnie niemal dziesięć lat temu przy okazji wykonywania zdjęć dyplomowych (została absolwentką Pomorskiej Akademii Medycznej). Teraz jest rok 2001, pani A. mieszka w małym miasteczku na Pomorzu Zachodnim, ma męża lekarza, dwoje dzieci, sama praktykuje jako stomatolog. Brydż z proboszczem i burmistrzem, herbatka z aptekarkową i panią mecenas, niedzielne spacerki i obiad w Pogodnej. Jednak do mnie przyjeżdża dalej. Nie zawsze regularnie, przerwy osiągały nawet dwa lata. Ale gdy się pojawia, przywozi wielkie torby ze strojami, pomysły na zdjęcia ma w głowie albo wpadamy na coś w trakcie fotografowania. Nie byłoby w tym jeszcze nic nadzwyczajnego, choć czas trwania fotograficznego programu pani A. i jego względna regularność mogą budzić szacunek i podziw. Prawdziwym powodem mojego listu jest jednak inna sprawa. Otóż ten zadziwiający wysiłek mojej bohaterki nie ma praktycznie żadnego konkretnego użytku. Jak mi wiadomo, nikt poza mężem tych zdjęć nie ogląda. Wielokrotnie próbowałem namówić moją Panią Bovary do jakiejś szerszej prezentacji fotografii, niewielkiej wystawy, ostatnio wspomniałem o waszej redakcji. Jednak pani A. uważa swoje upodobania za oznakę próżności i nieco powątpiewa w pozytywną ich ocenę. Może ta historia mogłaby mieć swój finał w gazecie? Do redakcji należałoby namówienie pani A. na ujawnienie jej nieznanych wizerunków. Proszę więc o dokonanie cudu.

Sylwester Lechicki, Szczecin

GERBERA

Pan Sylwester to szpakowaty mężczyzna około pięćdziesiątki.

Anna zwróciła jego uwagę, gdy po zdjęciach do dyplomu przyszła sfotografować się z gerberą. Rzadko kto wpada na taki pomysł. - Widać było po gerberze, że ta kobieta czegoś w życiu szuka.

- Ale ja nie dociekam czego - zastrzega.

Pijemy z Sylwestrem Lechickim kawę i oglądamy plon jego dwudziestoletniej pracy. Cała dzielnica Pogodno, gdzie mieści się zakład, wie: pan Sylwester pasjonuje się i tymi kobietami, którym robi zdjęcia do legitymacji studenckich, i tymi - do legitymacji związku emerytów. Plotkują, że miał pięć żon (nieprawda, ma drugą). Skończył chemię na politechnice, pracował w urzędzie skarbowym, był członkiem "Solidarności". Po trzynastym grudnia musiał odejść z pracy i dzięki temu dziś możemy rozmawiać o fotografii z gerberą.

- A pani Ania jest jak ze "Starszych Panów" - opowiada. - Niczym Kalina Jędrusik. Z tym że Jędrusik cechowała lepkość seksualna, a Anna jest subtelna. To kobieta nieprzystająca do rzeczywistości, jakby lekko unosząca się nad ziemią.

Dlaczego od dziesięciu lat odwiedza zakład pana Sylwestra?

- Skoro jesteśmy w klimacie "Starszych Panów" - mówi - ja bym to widział jako "kapryśnik". No i teraz pan pojedzie do Anny i wejdzie w jej świat, czego panu zazdroszczę.

KLAN

Anna Natkańska bez makijażu nie wynosi nawet śmieci.

Jej przyjaciółka mówi, że w piętnastotysięcznym Złocieńcu jest "księżną Dianą". Gdy ukazuje się w drzwiach swego mieszkania w bloku, ktoś mógłby mnie ostrzec słowami Jeremiego Przybory: "Musimy na nią uważać. Ma w sobie za dużo kobiecości".

Anna od razu pyta, czy chcę klapki, czy kapcie. (Mówię, że bez obuwia w obcym mieszkaniu czuję się obnażony. Więc pozwala mi zostać w butach). Mieszkanie jest bardzo kolorowe, pokoje w pastelach: błękitny, żółcienie. Łososiowy jest salon, a firany w nim mają wzór w spiralki. I te spiralki widnieją powtórzone na ścianie, w szlaczku. Kupiła więcej materiału, wycięła spiralki z firan i nakleiła na tapetę.

W Złocieńcu na temat Anny dyskutuje się sporo.

- Ona jest bardzo zauważalna, a o takich osobach ludzie zawsze chcą wiedzieć jeszcze więcej, niż wiedzą - podkreśla przyjaciółka lekarka.

Niektórzy na przykład badali, czy na pewno są z doktorem Krzysztofem udanym małżeństwem. Są, a w Złocieńcu mówi się o trzech na to dowodach. Po pierwsze - w ich mieszkaniu, poza sypialnią, nie ma drzwi do pokoi. To znaczy, że nie mają potrzeby, by się przed sobą zamykać, by od siebie uciekać. Po drugie - jedna osoba z premedytacją pytała doktora, jakie suknie miały różne panie na zabawie sylwestrowej. I nic nie mógł sobie przypomnieć, a było dwa dni po Nowym Roku. Znaczący - nie ogląda się za kobietami. Po trzecie - co roku w październiku chodzą na leśną polanę i we dwoje fotografują się na tle bajecznie czerwonych buków.

Siadamy do kolacji, Anna rozkłada cytrynowy obrus i stawia na nim szafirowe talerze. U niej w Złocieńcu - jak w "Klanie" - życie domowe to scena. W "Klanie" bohaterowie są tacy, jakimi Polacy chcieliby być: ucywilizowani mieszczańsko. Krystyna Lubicz nigdy nie stawia reklamówki z zakupami na stole, a pustej nie zawiesza na drzwiczkach kuchennej szafki. Serka nikt nie je z wprost z opakowania. Dzieci Anny: Jagódka (półtora roku) i Jacuś (siedem lat) ubrane są zawsze pod kolor. - Ach, jaką mi pan zrobił przyjemność tym porównaniem. "Klan" to mój serial - potwierdza Anna.

Więc w ich mieszkaniu nie ma żadnych kulis ze zmiętolonymi reklamówkami. Nawet mąż mówi starannie: "Żona interesująco zaprezentowała się na zdjęciach". Pacjentki są mężem zachwycone. Jedna z nich ma 68 lat i, szczerze mówiąc, nie ma z czym przychodzić do dentysty, ale przychodzi. - Wie pan, doktor Krzysio jak mówi, to zawsze tak spokojnie. Nawet gdyby wojna wybuchła, to myślę, że też by mówił tak spokojnie. Dobrze pani Ani przy takim człowieku.

SIŁA

- "Panią Bovary" przeczytałam z nieufności. Bo jestem nieufna. Skoro pan Lechicki porównał mnie do Bovary, musiałam sprawdzić, czy to, co mówi, nie jest dla mnie złe. Przeanalizowałam całą powieść, i nie ma tam ze mnie nic. To ciągle zdradzanie męża,

ten fałsz, i ten arszenik na końcu, co to ma ze mną wspólnego? Jak panu Lechickiemu takie porównanie mogło przyjść do głowy?

- Przecież Emma - tłumaczę - szukała innego życia. Pani też, za pomocą fotografii, szuka siebie innej...

Zdumiona Anna zaprzecza.

- Bovary zapamiętała się, zagubiła i już musiała brnąć do okropnego końca. A ja nigdzie nie brnę.

- A zauważyła pani, że Flaubert nadaje Emmie różne kolory oczu? Przy jednej okazji niebieskie, przy innej czarne, a czasami piwne. Krytycy zarzucali mu niechlujstwo. A może chodziło mu o jej zmienność, o kilka twarzy tej samej osoby? Poza tym Bovary miała prawo mieć różne oczy, bo prowadziła podwójne życie!

Anna jest wyraźnie zgorszona.

- Robię te zdjęcia w harmonii z sobą. O Boże! Nigdy nie myślałam tak głęboko o tym wszystkim.

Po chwili: - Jestem kronikarką siebie samej. Przecież człowiek starzeje się tak szybko, muszę coś pięknego zostawić wnukom.

- Coś musiało pani podszeptać: "Idź i sfotografuj się inaczej niż wszystkie dziewczyny" - mówię.

- U mnie to wszystko wzięło się ze zdenerwowania. Gdy pierwszy raz sfotografowałam się z gerberą, pan Lechicki powiedział: "To nie najlepsze pani zdjęcia". "Jak to? - pomyślałam. - Są najlepsze. Przecież już innych zdjęć w moim życiu nie będzie". Ale to zdanie mnie dręczyło dwa lata. Myślałam, że stać mnie na więcej. Nie wytrzymałam i pojechałam to udowodnić.

- Musi w tym być jakaś siła - dodaje. - Bo zawsze sobie obiecuję, że to ostatni raz, a jednak jadę. To są oczywiście tylko wycieczki. Wycieczki, z których wracam niezmienną i zadowolona.

- Owszem, Anna ma na zdjęciach różne twarze - przyznaje mąż. - Ale czy to jest szukanie innej osobowości? Jak każdy u fotografa jest stremowana, więc ze stresu robi różne miny. I to jest tajemnica tych twarzy.

SYMBIOZA

Matka Anny jest ekonomistką, a ojciec inżynierem budownictwa. Dzięki niemu została stomatologiem. Chciała studiować medycynę ogólną, jednak tata jej przypomniał, że jest kobietą, a to ma swoje konsekwencje. - Pchnęło mnie na stomatologię z racjonalnych pobudek, "Bo jeśli będziesz lekarzem - mówił tatuś - wyobraź sobie te nocne dyżury w szpitalu, to wyczerpujące poświęcenie. A przecież urodzisz dzieci. I jak będzie wyglądała ta rodzina z matką, której ciągle nie ma w domu?".

No i uznałam, że tata dobrze mną pokierował.

Zdjęcia to jest rzecz, która dopełnia moje szczęście. Od roku już robię zdjęcia z dziećmi i nawet cieszę się, że wreszcie nastąpiła symbioza. Kaprysu i rodziny.

MOTYLE

Następnego dnia spotykamy się w zakładzie fotograficznym. Anna przyjeżdża z dziećmi, mężem, szwagierką i ośmioma pakunkami. Wyciąga z nich suknie, kapelusze, przebrania dla dzieci i dla mnie. Włosy ma fantazyjnie poskręcane w setki loczków. Do trzeciej rano przygotowywała siebie i dzieci. Na stroje poświęca dużo energii. Odwiedza sklepy, ogląda czasopisma, a najważniejsze jest to, że w Szczecinie odkryła krawcową teatralną, która ją rozumie. Teraz wiem, dlaczego się spóźniła i dlaczego sesję zaczynamy o piętnastej.

Najpierw dzieci fotografowane są w posrebrzanej donicy jako cudowne rośliny, ona trzyma nad nimi konewkę. Potem dzieci z Anną w różowych strojach, z różowymi skrzydłami jako motyle. W scenie trzeciej - Anna w złotej, ciągnącej się po ziemi sukni, dzieci w żółtych strojach i żółtych wiankach na głowach - jako "rodzina słońca". W scenie czwartej motyle spotykają skrzata. Jestem nim ja, mam zieloną kamizelkę, spodnie bermudy, kapelusz z zielonymi czułkami. Upieram się, że nie ściągnę okularów, bo bez nich czuję się obnażony. Pstryk i już wyglądamy jak pocztówka z powinszowaniem imienin.

- Panie Lechicki... - zaczyna Anna.

- Pani Aniu, czy po dziesięciu latach znajomości mogłaby pani mówić do mnie "panie Sylwestrze"?

- Nie wiem - odpowiada.

Potem Anna fotografuje się bez dzieci. Przywiozła błękitną połyskującą suknię i wielki jasnoniebieski kapelusz z farbowanych ptasich piórek. Mówię, że jest podobna do młodej Violetty Villas. - Jestem zaszczycona tą Violetką - mówi i zwraca się do mistrza: - No dobrze, niech pan zamraża ulotną chwilę, panie Sylwestrze.

- Nie zgadzam się - odpowiada fotograf. - Ja nie zamrażam, ja chwilę ocalam! Nie chcę, żeby pani się czuła jak w lodówce: zamrożona w jakimś skostniałym geście.

(Sylwester do mnie na boku: - Podczas naszych zdjęć pewna filuterność kwitnie).

UPÓR

Anna przebrała się w obcisły sznurowany gorset w kolorze perłowym.

- A teraz proszę przymknąć oczy - mówi fotograf.

- Nie przymknę.

- Pani Aniu, proszę przymknąć oczy... - powtarza pan Sylwester, nie wierząc, że tak zwyczajna prośba może nie zostać przyjęta.

- Nie przymknę!

- Coś zupełnie nowego wydobędziemy z pani, jeśli pani przymknie - tłumaczy mistrz.

- Nie! Koniec. Kropka.

- Pani Aniu... - prosimy wszyscy.

- Przymknij - prosi mąż.

- Przymknij - prosi szwagierka.

- Przymknij - powtarza synek.

- Nie!

- Ale dlaczego? - dociekam.

- Nie będę się z tego tłumaczyć! Nie przymknę i już.

Nie ujrzymy więc zdjęć Anny Natkańskiej z przymkniętymi oczami. - Nie mogę pojąć! - szepcze mi do ucha Sylwester. - To jest irracjonalne!

Upór Anny ma sens. Czy jakaś przyzwoita kobieta w historii Złocieńca fotografowała się z przymkniętymi oczami? Przymknięte oczy mogą być dowodem, że szukała wrażeń. Mogą świadczyć, że straciła kontrolę nad sytuacją. Kobieta powinna szczerze patrzeć w obiektyw. Poza tym dla wszystkich byłoby jasne, że fotografował ją mężczyzna. A więc przymykałaby oczy przed obcym mężczyzną! Anna chce żyć w zgodzie ze Złocieńcem.

NIEKONIECZNOŚĆ

- Panie Lechicki - Anna, zirytowana naszymi prośbami, zwraca się do fotografa znów po nazwisku. - Panie Lechicki - powtarza - zrobimy wszystko według mojej koncepcji. Dobrze?

"Dobrze" brzmi surowo i ostro. Nie mogę postawić przy tym słowie wykrzyknika, bo Anna nie krzyczy. Nie ma znaku, który wyraziłby brzmienie jej głosu. Słowo wypowiada cicho, ale tonem nie znoszącym sprzeciwu. Od takiego tonu wszystkim mężczyznom świata cierpnie skóra, jakbyśmy słyszeli kulkę styropianu przesuwaną po szkle.

- Pani Aniu, uśmiech łagodniejszy! - instruuje fotograf. - Niech pani będzie cudowną, co nie przychodzi pani z trudem.

Do mnie: - Cała uroda tych zdjęć bierze się z niekonieczności. To niekonieczność powoduje, że one są ładne.

Dzieci dokazują. - Największa przyjemność z dzieci, to je spłodzić - żartuje pan Sylwester.

- Ach, jak ja pana za to nie lubię! - karci go Anna.

- Cudownie się pani oburza, cudownie.

Po chwili do siebie: - Jak dobrze, że się oburza. Wszystko jest lepsze niż obojętność.